

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA



Dlaczego „Władcę świata” poleca Papież Franciszek?

Dlaczego uważa powieść za proroctwo?

Przeczytajcie, a zrozumiecie.

GRZEGORZ GÓRNY

JĘŚLI PRZERAZIŁA CIĘ PROROCZA WIZJA „OBOZU ŚWIĘTYCH”,
„WŁADCA ŚWIATA” POWALI CIĘ NA KOLANA

WŁADCA ŚWIATA

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
STEFAN BARSZCZEWSKI

FRONDA

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcia na okładce
Fotolia.com

Tłumaczenie
Stefan Barszczewski

Redakcja i korekta
Andrzej Olejnik

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

ISBN 978-83-8079-125-1

Copyright © for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017
Wstęp Copyright © by Paweł Milcarek

Wydawca
FronDA PL, Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronDAWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_FronDA

Spis treści

Biografia.....	7
Wstęp.....	9
Prolog.....	15
Księga I. Nadejście.....	23
Księga II. Spotkanie.....	103
Księga III. Zwycięstwo.....	253

Biografia

Jeden z wybitnych konwertytów początków wieku XX, Robert Hugh Benson urodził się 18 listopada 1871 roku. Jego ojciec był duchownym anglikańskim, w roku 1876 został biskupem, a w sześć lat potem arcybiskupem Canterbury. Zmarł nagle w 1896 roku.

Młody Hugon zaczął w 1891 roku studiować teologię i został duchownym anglikańskim. Z katolicyzmem zetknął się od początku swych studiów teologicznych, najpierw w książkach czy rozmowach szkalujących katolicyzm i głoszących powody, dla których nie powinno się łączyć z Kościołem Rzymskim. Po długich, kilkoletnich zmaganiach wewnętrznych został w 1903 roku przyjęty na łono Kościoła katolickiego, a w roku następnym przyjął w Rzymie święcenia kapłańskie. Zmarł w 1914 roku.

Pobył w Rzymie wywarł na nim wielki wpływ, co zaznaczyło się w dwóch jego najbardziej znanych powieściach: *Władca świata* (*Lord of the World*) i *Brzask wszechrzeczy* (*The Down of All*). Obie te powieści dotyczą przyszłości. Pierwsza wychodzi z założenia, że proces w świecie idący w kierunku usuwania chrześcijaństwa rozwija się konsekwentnie i prowadzi do panowania Pana świata, którym jest Szatan. Powieść jednak nie

jest pesymistyczna, ponieważ kończy się zwycięstwem Chrystusa nad szatanem. Powieść *Brzask wszechrzeczy* jest literacką odpowiedzią na pytanie, czy i w jakich warunkach może się dokonać nawrót do zdecydowanego wcielenia zasad Chrystusowych w życie prywatne, społeczne i polityczne świata.

Wśród innych prac Bensona zasługują na uwagę: *Wyznania konwertyty*, w których autor przedstawia swą drogę do Kościoła katolickiego; *Paradoksy katolicyzmu* dzieło apologetyczne; *Przyjaźń Chrystusowa* o łasce: *Chrystus w Kościele* dzieło apologetyczne. szczególnie dla protestantów.

Wstęp

Powieść *Władca świata* i jej autor, Robert Hugh Benson są obecnie niemal nieznani w Polsce. Jest to po części skutek skrupulatnego działania cenzury w okresie rządów komunistycznych: utwór, wydawany w polskim przekładzie Stefana Barszczewskiego przed drugą wojną światową, został zakazany w 1951 roku, czyli od razu w pierwszej fali sowietyzacji. Obecne w bibliotekach egzemplarze miały być zgodnie z zarządzeniem władz natychmiast usunięte. W przypadku wielu autorów ten zabieg oznaczał trwałe wyeliminowanie ich z obiegu czytelniczego. Wydawano *Władcę świata* na emigracji, ale nie miało to wpływu na sytuację w kraju.

Sprawa przedstawia się inaczej w Anglii i w zasięgu anglofonii: tutaj mimo upływu czasu, zmiany gustów literackich i związanej z tym utraty pewnych docenianych walorów, *Władca świata*, napisany w 1907 roku, zachowuje pozycję dzieła godnego uwagi, stojącego na początku szeregu z utworami docenianymi także u nas: *My* Jewgienija Zamiatina (1921), *Nowym wspinałym światem* Aldousa Huxley'a (1932) czy *1984* George'a Orwella (1948). W powieści Bensaona widzi się bowiem jedną z pierwszych „dystopii”, czyli utworów będących odwrotnością

„utopii”, opowiadających o świecie pogrążonym w koszmarze. Zarówno utopia, jak i jej przeciwieństwo to z zasady literatura fikcji, jednak dystopią nazywają specjaliści jedynie taką wizję, w której opisywany stan świata jest przewidywany na podstawie procesów obserwowanych we współczesności autora.

Autor *Władcy świata* urodził się w 1871 roku, jako najmłodszy syn anglikańskiego arcybiskupa Canterbury. Miał braci, którzy podobnie jak on sam pozostawili swój ślad jako literaci angielskiej epoki Edwardiańskiej. Robert szedł początkowo drogą kariery duchownego anglikańskiego, lecz w roku 1903 nawrócił się do Kościoła katolickiego, a rok później otrzymał ważne święcenia kapłańskie w Rzymie.

Dorobek literacki księdza Bensona jest bogaty, także gatunkowo. Dość wspomnieć, że mamy tu i charakterystyczne dla literatury angielskiej „opowieści niesamowite” (w tomiku *Światło niewidzialne*), i eseje apologetyczne, i autobiograficzne *Wyznania konwertyty*.

Robert H. Benson zmarł w 1914 roku, kilka tygodni po wybuchu pierwszej wojny światowej. Świat, który był jego współczesnością – polityczną, kulturową, społeczną – miał się wtedy zacząć rozpadać z coraz większą szybkością; jednak Benson nie miał już okazji tego widzieć, umarł na ostatnim skraju czasowym *belle époque*. W odróżnieniu od wspomnianych wyżej słynnych dystopii Zamiatina czy Huxley’a lub Orwella, wizja Bensona kreślona była przed wszystkimi potężnymi krachami Europy: przed Wielką Wojną i rewolucją bolszewicką, przed końcem wielkich monarchii, ich realnej władzy i imperialnego zasięgu, przed prawdziwym zaistnieniem Stanów Zjednoczonych na forum świata, przed pokazem siły wielkich ideologii totalitarnych i przed jakimikolwiek ruchami zjednoczenia Europy.

Świat przyszłości, przedstawiony we *Władcy świata*, posiada oczywiście pewne rysy epoki, w której powstał – jednak przeważa w nim coś w rodzaju proroczego widzenia, nawet jeśli nie są to dokładnie rysy naszej współczesności.

W świecie przedstawionym we *Władcy świata* liczą się tylko trzy siły duchowe: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich dowiemy się najmniej, natomiast dramatyczna akcja książki wynika z apokaliptycznej konfrontacji Kościoła i świeckiego humanitaryzmu.

Humanitaryzm jest ideologią panującą w krajach Zachodu, w „zjednoczonej Europie”. Jest równocześnie wrogi chrześcijaństwu i jednak powstały jakby skutek pewnej operacji przeprowadzonej na chrześcijaństwie: stworzyli go ludzie należący do społeczeństw niegdyś chrześcijańskich, usuwając z kultury chrześcijańskiej pierwiastek nadprzyrodzoności i w ogóle więź z Bogiem różnym od świata. W to miejsce humanitaryzm wprowadził mglistą duchowość typu panteistycznego (jako żywo przypominającą New Age znany nam z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku). Jednak panteistyczne medytacje są przedmiotem zainteresowania nielicznych, natomiast masy – kierowane przez emocjonalną pożywkę z gazet – pasjonują się raczej wielkimi ruchami społecznymi: dążenie do zjednoczenia świata i wyeliminowania z niego niepokojów jest najważniejszym tematem społecznych przeżyć.

Humanitaryzm, jako ideologia dominująca, tworzy parę z demokracją, jako ustrojem państwowym, z partią socjalistyczną w roli głównej. Istotną i już w ogóle nieskrywaną rolę odgrywa masoneria, organizacja niejako zastępująca Kościół w życiu społeczeństwa. Potrzebne temu nowemu społeczeństwu rytuały i święta są kopiami rytuałów masońskich, przyrządzanymi fachowo przez księży odstępców, wciąż świetnie czujących się w masowych celebrach.

Na ten nowoczesny laicki świat patrzymy z perspektywy Londynu, przez pryzmat życia przedstawicieli jego elity: polityka europejskiego Olivera Branda i jego żony Mabel. W tle przesuują się tłumy – wyciszone i szare na co dzień, zaś dziko rozemocjonowane gdy trzeba świętować kolejne etapy zjednoczenia świata lub ścigać katolików rozpoznanych jako podejrzanych o zamachy na przywódców ludzkości. Codziennosc jest

racjonalnie zorganizowana, masy ludzi przenoszą się bezszelstnie kanałami komunikacyjnymi do pracy i z niej. Jest jakoś szaro i bezwonnienie, dba się o wyciszenie wszelkich hałasów. Jeśli zdarzy się jakiś wypadek, natychmiast na miejscu zjawia się „służba eutanazji”, by oszczędzić cierpień poranionym; zresztą eutanazja jest wyjściem do wyboru dla każdego kto chce „odejść z godnością”.

Jedyną duchową alternatywą dla tej mieszanki humanitaryzmu i liberalnego socjalizmu jest Kościół i stworzona kiedyś pod jego wpływem cywilizacja chrześcijańska. Katolicy są już jednak mniejszością w morzu bezreligijnych społeczeństw Zachodu. Mniejszością, w której wzrastające ciśnienie okoliczności przyspiesza ekstatyczną świętość jednych, ale i apostazję drugich.

Władca świata nie jest opowieścią o życiu wewnętrznym, lecz wątek zmagania duchowych jest obecny: towarzyszymy głównemu bohaterowi, księdzu Percy’emu Franklinowi – w Londynie, Rzymie i Ziemi Świętej – w jego kolejnych etapach wewnętrznej kontemplacji Chrystusa cierpiącego w Jego ciele mistycznym. Z drugiej strony – obserwujemy też duchowe poszukiwania Mabel, żony polityka republiki europejskiej.

W powieści Bensona widzimy dwóch papieży: najpierw Jana XXV, panującego przez kilka dziesięcioleci obrońcę wiary świadomie upodobnionego do świętego Piusa X (w którego czasach powstawał utwór!); następnie – wybranego w trybie nadzwyczajnym Sylwestra II, pasterza czasów dosłownie ostatecznych. Dwóch papieży – ale przedstawiony nam styl papieżstwa składa się z trzech warstw.

Pierwsza to Rzym papieski odmalowany jako barwna enklawa tradycji, przyciągająca do siebie wszystkie osobistości starej cywilizacji chrześcijańskiej, na czele z monarchami wypędzonymi ze swoich królestw, teraz służącymi papieżowi do uroczystej mszy. Ta enklawa „dawnego życia” jest jakby kompletnym przeciwieństwem szarości i funkcjonalności nowoczesnych miast. W Rzymie żyje się z manifestacyjną

staroświeckością (dość powiedzieć, że kardynałowie jeżdżą karocami, a papież – na mule...).

Jednak w środku tej wydzielonej przestrzeni konserwatywnego buntu przeciw unifikacji i ubóstwionej nowoczesności znajduje się nagle winda i maszyna do pisania, które uprzedzają, że Kościołem zarządza się – w sumie – bardzo nowocześnie. W reakcji na zmiany w świecie rządu w Kościele zostały maksymalnie scentralizowane, papież rządzi regionami przy pomocy wyznaczonych dla nich kardynałów protektorów czuwających w Rzymie, a kontaktujących się codziennie z siatką księży sprawozdawców. Pozycja ordynariuszy jest niezauważalna, zaś wszystkie zakony zostały decyzją papieża sprowadzone do trzech.

I jest jeszcze warstwa trzecia: papieństwo Kościoła apokaliptycznego, posługujące się przede wszystkim specjalnie stworzonym superzakonem, „podobnym do jezuitów, lecz wolnym od ich złej renomy”. Papież pozostaje tu centralą, lecz – pozbawiony możliwości działania z Rzymu i wszystkich swoich urzędów rzymskich – patronuje już jedynie garstce wiernych, gotowych na męczeństwo w warunkach zaciskającej się pętli krwawych i administracyjnych prześladowań.

Nie odkrywając tutaj wszystkich sekretów opowieści, powiedzmy jeszcze tylko, że momentem napędzającym akcję i wywołującym kolejne fazy w zderzeniu humanitaryzmu i katolicyzmu jest pojawienie się na horyzoncie, a potem w centrum akcji genialnego polityka Juliana Felsenburgha. Spełniając marzenia o pokoju i dalszej unifikacji, ten „prezydent Europy” jest dosłownie ubóstwiany, przydając dotychczasowej bezosobowości systemu socjalizmu element spersonalizowanego absolutyzmu. Tutaj jednak dotykamy już tajemnicy kryjącej się w tytule: *Władca świata*.

W narracji Bensona jest oczywiście także wiele elementów, które brzmią dziś archaicznie i przeszkadzają w odbiorze książki jako proroczej, sięgającej istoty naszych obecnych zmaganiań. Jednak gdy w styczniu 2015 roku Franciszek został zapytany

przez dziennikarza, co ma na myśli, kiedy mówi o „kolonizacji ideologicznej”, papież przywołał właśnie ten utwór. Radzę wam to przeczytać – mówił papież – mimo że na początku jest trochę ciężka. „Jest to książka, której autor zobaczył w tamtym czasie dramat kolonizacji ideologicznej... Czytając tę książkę, zrozumiecie dobrze, co rozumiem przez kolonizację ideologiczną”.

Franciszek mówił o tej samej książce przynajmniej jeszcze jeden raz wcześniej. Gdy w homilii z 18 listopada 2013 roku dzielił się uwagą, że „także dzisiaj duch światowości prowadzi nas do progresywizmu, do uniformizmu myślenia”, zaraz wymienił utwór Bensona, mówiąc, że pokazuje on jak duch świata prowadzi do apostazji, „niemal jakby to było proroctwo, jakby przewidywał co się stanie”.

Dodajmy, że już w lutym 1992 roku na utwór Bensona zwracał uwagę publicznie kardynał Joseph Ratzinger – wtedy gdy reagował krytycznie na pojawiające się wówczas hasło budowania „nowego porządku świata”, *New World Order*. Kardynał porównał to hasło do opowieści Bensona o „podobnie zunifikowanej cywilizacji i jej mocy niszczenia ducha”.

Zapewne więc jeśli ktoś sięgnie dziś do *Władcy świata* jako do „antyutopii”, nie będzie rozczarowany. Oby się tylko nie przeraził...

Paweł Milcarek

Prolog

– Niech pomyślę chwilkę – rzekł starzec, przechylając się w fotelu.

Percy skrzywił się na krześle i czekał, oparłszy podbródek na dłoni.

Pokój, w którym znajdowali się trzej mężczyźni, był bardzo cichy iumeblowany niezmiernie praktycznie, stosownie do wymagań czasu. Nie posiadał okien ani drzwi, gdyż od sześćdziesięciu już lat świat, doszedłszy do przeświadczenia, że można mieszkać nie koniecznie tylko na powierzchni ziemi, zaczął na serio żyć w jej głębinach. Toteż dom pana Templetona znajdował się o jakieś czterdzieści stóp pod powierzchnią brzegów Tamizy, w dość wygodnym, jak uważano, położeniu, bo zaledwie sto jardów od drugiej linii centralnej superautostrady i o ćwierć mili od stacji szybowców przy moście Braci Czarnych.

Zgodnie z wymaganiami urzędu zdrowia wszystkie ściany pokoju okrywała zielonkawa emalia, przypominająca barwę lasów na wiosnę, opromieniało zaś go sztuczne światło słoneczne, wynalezione przez wielkiego Reutera przed czterdziestu laty, a przyrządy automatyczne odświeżały powietrze i utrzymywały temperaturę dokładnie plus osiemnastu stopni Celsjusza.

Pan Templeton był człowiekiem skromnych wymagań, zadowolonym ze sposobu życia, jaki wiodli jego przodkowie. I meble przypominały więc też kształtem dawne czasy, jakkolwiek, zgodnie z obyczajem panującym obecnie, pokrywała je miękka emalia azbestowa, naciągnięta na żelazo, niezniszczalna, przyjemna w dotyku i podobna z wyglądu do mahoni. Kilka dobrze wypełnionych szafek bibliotecznych stało z obu stron piedestału z elektrycznym kominkiem, przed którym siedzieli właśnie trzej mężczyźni, w dalszych zaś kątach pokoju widniały dwie windy hydrauliczne: jedna do pokoju sypialnego, druga zaś do korytarza prostopadłego, kończącego się na brzegu rzeki.

Ojciec Percy Franklin, starszy z dwóch księży, rozmawiających z panem Templetonem, posiadał postać uderzającą. Pomimo bowiem, że liczył nie więcej, jak trzydzieści pięć lat, włosy jego były całkiem siwe. Spod brwi gęstych i czarnych wyglądały oczy szare, niezwykle połyskujące i prawie namiętne, ale nos wydatny, podbródek i usta zarysowane twardo zwiastowały siłę woli. Ludzie obcy, rzuciwszy na niego okiem, zwykle przyglądali mu się powtórnie.

Drugi natomiast z księży, ojciec Francis, siedzący na fotelu z drugiej strony kominka, nie wybiegał poza pospolitą. Miał wzrok przyjemny, czuły, ale rysy twarzy nie oznaczały mocy charakteru. Kąciki warg i ciężko opadające powieki zwiastowały raczej usposobienie podobne do kobiecej melancholii.

Co się zaś tyczy pana Templetona, był to człowiek bardzo stary, o twarzy czerstwej, aczkolwiek pokrytej zmarszczkami, wygolony gładko, jak reszta ówczesnych ludzi. Obecnie leżał przechylony na fotelu, z plecami opartymi o poduszki i nogami przykrytymi derką.

Percy przyglądał się przez czas dłuższy mapom, rozłożonym na kolanach.

– Tak, wszystko to przedstawia się bez wątpienia daleko prościej – szepnął wreszcie, porównując liczne plamy barwne na mapach wieku dwudziestego z trzema wielkimi plamami map wieku dwudziestego pierwszego.

Posunął palcem wzdłuż Azji. Wyrazy: „Cesarstwo Wschodnie” biegły w poprzek plamy blado-żółtej, rozciągającej się od Uralu do cieśniny Beringa, skręcającej ogromnymi głoskami ku Indiom. Spojrzał następnie na plamę czerwoną. Była o wiele mniejszą, choć wcale znaczną, jeżeli zważymy, że obejmowała całą Europę od Uralu po Afrykę. Wreszcie plama niebieska z napisem: „Rzeczpospolita Amerykańska” obejmowała cały ląd amerykański, rozpraszając się na lewej stronie półkuli zachodniej w tysiącu plamek niebieskich wśród Oceanu Spokojnego.

– Tak, istotnie, przedstawia się to prościej – potwierdził sucho starzec.

Percy zamknął księgę i oparł ją o swoje krzesło.

– Ale cóż dalej, panie? – spytał. – Co będzie?

Stary mąż stanu, przedstawiciel stronnictwa torysów uśmiechnął się.

– Bóg wie – odparł. – Jeżeli Cesarstwu Wschodniemu spodoba się ruszyć przeciw nam, to jesteśmy bezsilni. Nie wiem nawet doprawdy, dlaczego dotychczas nie ruszyło. Przypuszczam, że chyba z powodu sporów religijnych.

– A Europa nie podzieli się? – spytał kapłan.

– Nie, nie! Znamy teraz nasze niebezpieczeństwo. I Ameryka poprze nas z pewnością. Niemniej powiem: niech Bóg ma w swej opiece nas, a raczej was, jeżeli Cesarstwo Wschodnie ruszy. Jest ono nareszcie świadome swoich sił.

Przez chwilę panowała cisza w pokoju, który zadrgał lekko pod wpływem jakiejś ciężkiej maszyny, sunącej gładko po szerokim bulwarze na powierzchni ziemi.

– A niech pan powie – odezwał się nagle Percy – jak pan sądzi, jak ułożą się w przyszłości sprawy religijne?

Pan Templeton odetchnął zawartością przyrządu trzymanego w ręce, po czym mówił:

– Krótko mówiąc, istnieją obecnie trzy siły: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich nic powiedzieć nie mogę, jakkolwiek sądzę, że sufisi zwyciężą. Wszystko zdarzyć się może...

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w Europie i Ameryce walka rozegra się między katolicyzmem i humanitaryzmem. Wszystko inne możemy pominąć. I sędzę, jeżeli chcecie wiedzieć, co sędzę, zapatrując się na te sprawy po ludzku, że katolicyzm będzie teraz szybko tracił na sile. Prawdą jest zupełną, że protestantyzm zakończył życie. Ludzie bowiem zrozumieli narreszcie, że religia nadprzyrodzona pociąga za sobą konieczność istnienia autorytetu absolutnego, i że zdania osobiste w sprawach Wiary nie są niczym innym, jak tylko początkiem rozkładu. Prawdą jest także, że ponieważ Kościół katolicki stanowi instytucję jedyną, która przyznaje sobie autorytet nadprzyrodzony z całą jego nieubłaganą logiką, przyłączyli się przeto do niego niemal wszyscy chrześcijanie, którzy nie utracili jeszcze wierzeń nadprzyrodzonych. Bardzo to dobrze. Z drugiej wszelako strony musicie pamiętać, że wbrew wszelkim przewidywaniom, humanitaryzm zaczyna sam zamieniać się powoli w religię istotną, acz nie nadprzyrodzoną. Jest to panteizm rozwijający pod wpływem masonerii własny rytuał. Credo jego stanowi: „Bóg to człowiek”. Idealizuje, a pomimo to nie stawia żadnych żądań władzom duchowym człowieka. Poza tym ma do rozporządzenia wszystkie kościoły, prócz naszych i wszystkie katedry. Wreszcie wolno mu ujawniać swoje symbole, a nam nie wolno. Toteż sędzę, że najpóźniej za lat dziesięć panteizm będzie legalnie uznany za Kościół panujący.

Tymczasem, nie zapominajcie, że my, katolicy, ponosimy tylko straty. Tracimy stale od lat przeszło pięćdziesięciu. Obecnie jedna czterdziesta Ameryki należy nominalnie do nas i to dzięki jeszcze ruchowi katolickiemu na początku wieku dwudziestego. We Francji i Hiszpanii jakbyśmy nie istnieli. W Niemczech liczba katolików zmniejszyła się znacznie. Nie straciliśmy bez wątpienia stanowiska naszego na Wschodzie, ale i tam, jak opiewają dane statystyczne, jeden tylko katolik przypada na dwustu ludzi, przy tym katolicy są tam rozproszeni. We Włoszech? Hm, Rzym... należy wprawdzie znów do nas, lecz poza tym nic nie posiadamy. Tutaj mamy za sobą Irlandię, tudzież

jedną sześćdziesiątą Anglii, Walii i Szkocji. Nie należy wszelako zapominać, że siedemdziesiąt lat temu jedna czterdziesta ludności wyznawała naszą wiarę.

Poza tym podkreślić należy ogromny rozwój psychologii, co najmniej od stu lat wymierzony w nas. Z początku, widzicie, istniał po prostu tylko materializm. Podupadł potem nieco, gdyż był zanadto surowy, aż psychologia pospieszyła mu na ratunek. Obecnie psychologia rości sobie pretensję do całej reszty pola działania... Tak, ojczyste, tracimy grunt i tracić go będziemy coraz bardziej. Sądzę nawet, że powinniśmy być przygotowani na to, że lada chwila nastąpi katastrofa.

– Ależ... – zaczął Percy.

– Sądzisz, ojczyste – przerwał pan Templeton – że to słabość ze strony człowieka, stojącego nad grobem. Trudno, tak jest, jak mówię, i nie widzę wyjścia. Zdaje mi się nawet, że rychło coś na nas spadnie. Nie, ojczyste, sytuacja jest beznadziejna, chyba, że...

Percy spojrział bystro na mówiącego.

– Chyba – powtórzył stary mąż stanu – że Pan nasz powróci... Książdz Francis westchnął i zapanowało milczenie.

Po chwili Percy zmienił nagle temat rozmowy.

– Cóż słyhać – spytał – o owym projekcie parlamentu europejskiego?

– Och, sądzę, że przejdzie, jeżeli znajdzie się człowiek, który by go poparł. Cały wiek ubiegły, jak wiecie, dążył ku temu. Szowinizm narodowościowy wymierał szybko. I powinien był zniknąć jak niewolnictwo i temu podobne pod wpływem Kościoła katolickiego. Dokonano jednak tego poza Kościołem, skutkiem czego świat zaczyna zwierać szeregi przeciwko nam. Jest to niejako antagonizm zorganizowany, coś w rodzaju katolickiego przeciwkościoła... Jeżeli projekt owego parlamentu przejdzie, to my, katolicy, możemy spodziewać się czegoś w rodzaju prześladowania... Z drugiej wszelako strony zbawić nas może najście Wschodu, jeżeli dojdzie do tego... Nie wiem...

Percy siedział cicho przez krótką chwilę, po czym zerwał się z krzesła.

– Trzeba iść! – zawołał w esperanto. – Już po dziewiętnastej. Dziękuję panu bardzo. Czy idziesz także, ojczcie?

Ksiądz Francis powstał również, poprawiając ciemnoszary strój, który mogli nosić tylko księża i wziął w dłonie kapelusz.

– Zajrzyjcie – mówił starzec – znów kiedyś do mnie. Sądzę, że nie byłem zanadto gadatliwy. Zapewne musisz jeszcze wysłać swój list.

– Tak – odparł Percy, skinąwszy głową. – Połowę napisałem już dzisiaj rano, czułem jednak, że potrzebny mi jest jeszcze przegląd retrospektywny zdarzeń, zanim wyrobię sobie właściwe zdanie. Toteż dziękuję panu bardzo. Wielka to, istotnie, praca ten list codzienny do kardynała protektora. Myślę nawet o zrezygnowaniu z tego stanowiska, jeżeli otrzymam pozwolenie.

– Nie czyń tego, kochany ojczcie. Niech mi będzie wolno powiedzieć ci w oczy, że posiadasz umysł bardzo bystry. Rzym zaś nie zdoła uczynić bez zrównoważonych informacji. A nie sądzą, aby wśród twoich konfratrów znalazł się człowiek tak skrupulatny pod tym względem.

Percy uśmiechnął się, podnosząc czarne brwi protestująco.

– Chodź, ojczcie – rzekł do towarzysza.

Wyszedłszy z korytarza, księża rozeszli się i Percy stanął, spoglądając przez kilka minut na znany dobrze krajobraz jesienny, jakby usiłując zrozumieć go lepiej. Bo to, co słyszał tam na dole z ust starca, zdawało się przedstawiać w dziwnym świetle tę wizję wspaniałego dobrobytu, jaką miał przed oczyma.

Powietrze jaśniało, jak we dnie, sztuczne bowiem światło słoneczne obejmowało wszystko i Londyn nie znał już prawie różnicy pomiędzy dniem a nocą. Kapłan stał w pewnego rodzaju zaułku o ścianach wypolerowanych i wyłożonych grubo masą gumową, głuszącą kroki. Poniżej, u stóp schodów, przelewały się dwa strumienie przechodniów, przedzielone przegródką i dążące w przeciwne strony w niemal absolutnej ciszy. Słychać było tylko szept esperanta, którym mówili idący. Przez

czyste szyby przejścia dla przechodniów, zrobionego ze szkła hartowanego, widać było szeroką, lśniąca czarną drogę, prążkowaną od końca do końca i pomarszczoną w środku. Droga ta była w chwili obecnej dziwnie pusta, z daleka jednak, od starego Westminsteru, dolatywał szum, jak z olbrzymiego ula, rosnąc coraz bardziej, aż nagle mignęło na drodze coś przezroczystego, buchając światłem z każdego kąta i oto szum zaczął przycichać, aż wreszcie umilkł zupełnie, w miarę, jak się oddalał wielki rządowy samochód, wiozący z południa na wschód pocztę. Bo droga, o której mowa, stanowiła uprzywilejowaną drogę rządową, dostępną tylko dla pojazdów państwowych, pędzących z szybkością nie przekraczającą 100 mil na godzinę.

W tym gumowym mieście inne hałasy wyciszono niemal zupełnie. Tory osobowe oddalone były o 100 jardów jeden od drugiego. Koleje zaś podziemne leżały zbyt głęboko, aby można było odczuć coś innego, jak tylko lekką wibrację. Ale i nad usunięciem tej nawet lekkiej wibracji, oraz szumu pojazdów rzeczoznawcy rządowi pracowali usilnie już od lat dwudziestu.

Zanim jeszcze Percy ruszył z miejsca, uszu jego doleciał z góry przeciągły krzyk, niezwykle harmonijny i donośny, a gdy oderwał wzrok od rzeki wielkiej, statecznej, która jedyna nie pozwoliła się opanować, ujrzał wysoko nad sobą, na tle ciężkich chmur długi przedmiot, połyskujący łagodnym światłem i sunący z majestatycznym spokojem w kierunku północnym. Był to jeden z szybowców linii europejskiej, zwiastujący śpiewnym krzykiem swoje przybycie do stolicy Anglii.

„Chyba że Pan nasz powróci” powtórzył Percy w myśli słowa wypowiedziane przez starca i przez chwilę nurtowało mu w sercu wspomnienie dawnego, pełnego nędzy bytu ludzkości. Jakże trudno utrzymać wzrok utkwiony w daleki widnokrąg, gdy tu, na pierwszym planie, widnieje świat tak pociągający wspaniałością i siłą! Och! Przed godziną zaledwie tłumaczył ojcu Francisowi, że ogrom to coś innego niż wielkość i że narzucająca się powierzchowność nie może wyłączyć subtelności

wewnętrznej. I wierzył w to, co mówił wówczas, niemniej zwątpienie jeszcze istniało. Aż wreszcie stłumił je potężnym wysiłkiem, wzywając w sercu Mistrza z Nazaretu, aby nie opuszczał jego serca, jak serca dziecka.

Po czym zaciął wargi, zastanawiając się, jak długo ojciec Francis wytrzyma nacisk i zeszedł ze schodów.

KSIĘGA I
NADEJŚCIE

Rozdział I

Oliver Brand, nowy poseł z Croydonu, siedział w swej pracowni, spoglądając w okno ponad stojącą przed nim maszyną do pisania.

Jego dom położony był na północy na samym krańcu wzgórz Surrey, obecnie zmienionych nie do poznania z powodu licznie wywierconych w nich tunelach. Widok, rozpościerający się za oknem, mógł być ponętny tylko dla komunisty. Tuż pod szerokimi oknami ścięty grunt opadał zboczem, stromym na głębokość jakichś stu stóp, kończąc się wysokim wałem, za którym świat i prace ludzkie triumfowały jak daleko sięgnąć było okiem. Dwie olbrzymie drogi, podobne do wyciągniętych prosto torów wyścigowych, mierzące nie mniej niż ćwierć mili szerokości i zagłębione na dwadzieścia stóp pod powierzchnią ziemi, ciągnęły się ponad milę aż do połączenia na wielkiej stacji centralnej. Jedna z nich, na lewo, tworzyła główną drogę do Brighton, zapisaną w przewodniku dla podróżnych wielkimi głoskami, druga zaś, na prawo, wiodła do okręgów Tombridge i Hastings. Każda przedzielona była wzdłuż cementowym murem. Z jednej jej strony biegły na stalowych szynach tramwaje elektryczne, z drugiej zaś biegła gigantyczna superautostrada, podzielona

na trzy części: pierwszą przeznaczono dla samochodów rządowych jeżdżących z prędkością 150 mil na godzinę, drugą dla prywatnych, które mogły jeździć nie szybciej niż 60 mil na godzinę, trzecią zaś dla tanich i produkowanych masowo w ramach rządowego programu samochodów, rozwijających maksymalnie 30 mil na godzinę i zatrzymujących się co 5 mil.

Dalej rozpościerała się ogromna równina dachów z wznoszącymi się tu i ówdzie wieżyczkami, oznaczającymi gmachy publiczne, odcinającymi się wesoło i wyraźnie w bezdymnym powietrzu; jeszcze zaś dalej na jasnym kwietniowym niebie widniały zarysy podmiejskich wzgórz.

Zważywszy na ogromny ruch ludności w powietrzu panowała zadziwiająca cisza. Poza dudnieniem stalowych szyn, gdy pociąg biegł po nich na północ lub na południe i śpiewnym krzykiem samochodów, gdy podjeżdżały do stacji, w pracowni rozlegał się łagodny i uspokajający szum podobny do brzęku pszczół w ogrodzie.

Olivera cieszyła każda oznaka życia ludzkiego, każdy odgłos i każdy ożywiony widok. Toteż uśmiechnął się obecnie, łowiąc uchem tętno życia i spoglądając przez okno w czysty przestwór. Wreszcie ściągnął wargi, położył palce na klawiszach maszyny i w dalszym ciągu układał mowę, którą miał wygłosić.

Położenie domu, w którym mieszkał, było bardzo szczęśliwe, stał bowiem w jednym z końców potężnej pajęczej sieci dróg, pokrywającej cały kraj. Dość bliski Londynu, aby być tanim – wszystkie bowiem osoby bogate przeniosły się przynajmniej na odległość 100 mil od pulsującego serca Anglii – pomimo to był zupełnie spokojny. Do Westminsteru z jednej strony dotrzeć można było w przeciągu dziesięciu minut, do morza zaś z drugiej – w przeciągu dwudziestu. Dalej, ponieważ i wielkie stacje centralne Londynu znajdowały się w odległości dziesięciu minut, Oliver miał w każdej chwili do dyspozycji wszystkie linie komunikacyjne, co wiele znaczyło dla polityka średnio zamożnego, zmuszonego dziś przemawiać w Edynburgu, a jutro w Marsylii.

Człowiek młody o wyglądzie przyjemnym, liczący niewiele ponad lat trzydzieści, czarnowłosy, gładko wygolony, niebieskooki i białolicy, o postawie wysmukłej, męskiej i pociągającej, zdawał się być dziś niezmiernie zadowolony z siebie i ze świata. Wargi jego poruszały się z lekka, a oczy rozszerzały lub zmrużały, stosownie do wrażeń przynoszonych na papier. Od czasu do czasu zatrzymywał się uśmiechnięty i czerwieniał.

Otworzyły się drzwi pracowni, wszedł człowiek w średnim wieku, o ruchach nerwowych i położywszy bez słowa na stole przyniesioną paczkę papierów zabierał się do wyjścia. Oliver jednak zatrzymał go ruchem ręki, trzasnął lewarkiem w maszynie i spytał:

– No co, panie Phillips?

– Nie ma wiadomości ze Wschodu – odparł zagadnięty sekretarz pośła.

Oliver rzucił okiem na papiery i położył na nich rękę.

– Nie ma – spytał – depeszy w całości?

– Nie. Znów jest przerwana. Wymieniono w niej Felsenburgha.

Oliver zdawał się nie słyszeć. Podniósł nagłym ruchem słabo zadrukowane arkusze i zaczął je przeglądać.

– Czwartym arkuszem u góry, panie Brand – odezwał się sekretarz.

Oliver ruszył głową niecierpliwie, a na ten znak sekretarz wysunął się z pokoju.

Czwarty arkusz od góry, zadrukowany farbą czerwoną na tle zielonym, zajął uwagę Olivera całkowicie. Przeczytał go bowiem dwa czy trzy razy, oparłszy się bez ruchu o poręcz krzesła, wreszcie westchnął i wyrzwał znów przez okno.

W tej chwili drzwi otworzyły się ponownie i stanęła w nich młoda, wysoka kobieta.

– No i cóż, mój kochany? – spytała.

Oliver potrząsnął głową, zacinając wargi.

– Nic stanowczego – odparł. – Nawet mniej, niż zwykle. Słuchaj...

Wziął do ręki zielony arkusz i zaczął czytać, a towarzyszka jego usiadła przy oknie z lewej strony.

Była to postać zachwycająca. Wysoka i wiotka, o poważnych, gorących, szarych oczach, mocno zarysowanych czerwonych wargach i prześlicznym rysunku ramion oraz głowy. Gdy Oliver wziął papier do ręki, przeszła wolno w poprzek pokoju, obecnie zaś siedziała trochę przechylona w brunatnej sukni, przyjąwszy pozę wdzięczną i poważną. Na pozór słuchała czytania z pewną rozmyślną uwagą, lecz oczy jej połyskiwały ciekawością.

Oliver czytał:

„Irkuck – czternastego kwietnia. – Wczoraj – jak zwykle – ale – mówią – zawód – ze – strony – sufistów – wojsko – wciąż – napływa – Felsenburgh – przemawiał – do tłumu – buddystów – piątku – ubiegłego – dokonano – zamachu – na – lamę – czyn – anarchistów – Felsenburgh – odjeżdża – do – Moskwy – jak postanowiono – zamierza...”.

– Oto wszystko – rzekł Oliver, niezadowolony, przerwawszy czytanie. – Jak zwykle, depesza nie dokończona.

Kobieta zakołysała nogą.

– Wprost nie pojmuję – zauważyła – kim jest w końcu ten Felsenburgh?

– Kochane dziecko, o to właśnie cały świat pyta. Nie wiadomo nic, poza tym, że w ostatniej chwili zaliczono go do deputacji amerykańskiej. Co prawda, „Herald” podał jego życiorys w ubiegłym tygodniu, ale już mu zaprzeczono. Pewne jest tylko, że to człowiek młody i że dotychczas niczym się nie odznaczył.

– Obecnie jednak – zauważyła kobieta – nie jest już nieznany.

– Oczywiście. Jak się nawet zdaje, kieruje całą sprawą. Bo ani słowa nie słyhać o innych.

– A cóż ty o tym myślisz?

Oliver skierował wzrok błędny na okno.

– Sądzę, że to chwila decydująca. Dziwnym jest tylko to, że mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Ha, może być, że to sprawa zbyt potężna dla wyobraźni. Nie ulega wątpliwości, że w przeciągu

ostatnich pięciu lat Wschód przygotowywał najście na Europę. Najście to powstrzymała jedynie Ameryka. Jesteśmy obecnie świadkami usiłowania ostatecznego. Dlaczego jednak przy tym Felsenburgh wysunął się na czoło? – Tu Oliver zatrzymał się na chwilę. – Hm, w każdym razie musi być dobrym lingwistą. Przemawia już co najmniej w piątym języku. A może tylko jest tłumaczem deputacji amerykańskiej. Bardzo ciekaw jestem, co to za osobistość.

– Jak mu na imię?
– Podobno Julian. Tak przynajmniej nazwano go w jednej depeszy.

– A jakżeś otrzymał ostatnią?
– Drogą prywatną. Agencje europejskie przestały pracować. Wszystkie stacje telegraficzne strzeżone są dniem i nocą. Szeregi szybowców pilnują każdej granicy. Cesarstwo Wschodnie pragnie załatwić bez nas tę sprawę.

– A jeżeli źle pójdzie?
– Kochana Mabel, jeżeli piekło runie na nas... – tu przerwał i rozłożył ręce rozpaczliwym ruchem.

– A cóż robi nasz rząd?
– Pracuje dzień i noc, jak reszta Europy. Gdyby jednak doszło do wojny, będzie to straszliwa walka.

– Czyż nie ma szansy uniknięcia tej walki?
– Zdaniem moim – odparł Oliver wolno – istnieją dwie szanse: albo Wschód złąknie się Ameryki i nie ruszy się po prostu ze strachu, albo też zniewolony będzie dążył do jej zaniechania przez współczucie, jeżeli tylko pojmie, że jedyną nadzieję świata stanowi współdziałanie. Gdyby tylko nie te przekłete ich religie!

Mabel westchnęła i spojrzała na rozległą równinę dachów, rozpościerającą się za oknem.

Sytuacja była istotnie jak najpoważniejsza. Olbrzymie Cesarstwo Wschodnie, utworzone przez sfederowanie państw pod wodzą syna nieba (umożliwione wskutek zlania się dynastii chińskiej z japońską i upadek Rosji) konsolidowało siły

i poznawało potęgę swą w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat, mianowicie od czasu zagarnięcia chudymi rękoma Indii. Gdy reszta świata uznała już całe szaleństwo wojny od czasu upadku Rzeczypospolitej rosyjskiej pod naciskiem rasy żółtej – rasa żółta właśnie poznała, co wojna dać może. Zdawało się więc, że cywilizacja ostatniego wieku zmieciona będzie i zamieni się raz jeszcze w chaos. Myśl o tym doprowadzała Olivera wprost do szału. Gdy spoglądał przez okno i widział rozłożony przed sobą w spokoju ten olbrzymi obszar Londynu, gdy unosił się wyobraźnią nad Europą i dostrzegał wszędzie stały triumf zdrowego rozsądku i faktów nad dzikimi bajkami chrześcijaństwa – zdawała mu się wprost nie do zniesienia myśl, że wszystko to powrócić mogłoby jeszcze do zamętu barbarzyńskiego sekt i dogmatów, bo to jedynie mogłoby być wynikiem zwycięstwa Wschodu nad Europą. Odżyłby nawet – mówił do siebie – katolicyzm, ta wiara dziwna, wybuchająca tylokrotnie płomieniem, gdy usiłowano stłumić ją przez prześladowania, ta wiara najdziwaczniejsza i najbardziej z wszystkich wier zaprzęgająca człowieka w niewolę.

Perspektywa takiego biegu spraw niepokoiła Olivera szczerze, niepokoiła daleko bardziej, niż widoki katastrofy fizycznej i rozlewu krwi w Europie w razie najścia Wschodu. W sprawie religii – jak to już nie raz słyszała Mabel z ust jego – nadzieją jedyną było to, że panteizm kwietystyczny, który uczynił już w ciągu ubiegłego wieku postępy tak olbrzymie na wschodzie i zachodzie, wśród mahometan, buddystów, hindusów, czy wyznawców Konfucjusza, dopomoże w zniweczeniu szału nadprzyrodzoności.

Panteizm odzwierciedlał jego wiarę. Dla niego „Bóg” to rozwijająca się suma życia nadprzyrodzonego; bezosobista Jedność tworzyła treść istoty tego Boga; współzawodnictwo więc stanowiło wielką herezję, przeciwstawiającą człowieka człowiekowi i powstrzymującą wszelki postęp, bo dla umysłu Olivera postęp oznaczał wsiąknięcie jednostki w rodzinę, rodziny w społeczeństwo, społeczeństwa w część świata, a części

świata w jego całość. W końcu zaś sam świat nie był niczym innym, jak tylko wyrazem życia nieosobistego. Była to w istocie idea katolicyzmu, z której usunięto nadprzyrodzoność: wyrzeczenie się indywidualizmu z jednej, a nadprzyrodzoności z drugiej strony. Zdradą nazywało się apelowanie do Boga transcendentalnego; Bóg taki nie istniał, Bogiem takim, o ile mógł On być poznany, było człowieczeństwo.

Niemniej małżonkowie – bo Oliver i Mabel tworzyli pewnego rodzaju małżeństwo, zawarłszy z sobą kontrakt terminowy, uznawany przez państwo – byli dalecy od podzielania zwykłej tępości wierutnych materialistów. Świat dla nich pulsował życiem gorącym, rozkwitającym w kwiatach, zwierzętach i ludziach; rozlewał się potokiem mocy wspaniałej, wyłaniającym się ze źródła głębokiego i zraszającym wszystko, co żyło lub czuło. Romantyczność tego cudnego świata dawała się ocenić tym bardziej, że była zrozumiała dla umysłów, które z niego wypływały. Istniały w nim, co prawda, tajemnice, lecz tajemnice, pociągające raczej, niż zawodzące, ujawniały bowiem nowe wspaniałości z każdym odkryciem uczynionym przez człowieka. Nawet przedmioty nieożywione, nawet wykopaliska, prąd elektryczny, gwiazdy dalekie, były pyłem, otrząśniętym przez Ducha Świata, woniejącym Jego obecnością, świadczącym wymownie o Jego Naturze. Jak dalece, na przykład, zmieniło pogląd ludzi na samych siebie oświadczenie astronoma Kleina przed laty dwudziestu, że zaludnienie pewnych planet stało się faktem! Jednym wszelako z warunków postępu na planecie zamieszkaanej przez człowieka był pokój, a nie miecz przyniesiony przez Chrystusa; pokój wyrastający ze zrozumienia a nie przerastający go; pokój pochodzący ze świadomości, że człowiek był wszystkim i mógł rozwinąć się tylko współczując z bliźniemi swymi.

Toteż dla Olivera i małżonki jego świat obecny wydawał się czymś zupełnie nowym. Dawne przesady zamarły stopniowo, a nowe światło rozszerzało się coraz bardziej. Duch Świata powstał, słońce wzeszło, ze strachem więc i wstrętem widzieli

obecnie chmury, wyłaniające się z miejsca urodzenia wszelkich przesądów.

Mabel powstała z krzesła i podeszła ku mężowi.

– Mój kochany – rzekła – nie trzeba tracić odwagi. Wszystko to przejść jeszcze może tak, jak przechodziło dotychczas. Już to świadczy dobrze, iż w ogóle słuchają głosu Ameryki. I ten Felsenburgh zdaje się stać po stronie słuszności.

Oliver ujął jej rękę i pocałował.

Przy śniadaniu jednak, w pół godziny później, zdawał się mocno przygnębiony. Matka jego, staruszka blisko osiemdziesięcioletnia, nie pojawiająca się nigdy przed południem, spostrzegła to od razu: spojrzawszy bowiem i przemówiwszy parę słów do niego, zamilkła, schylając się nad talerzem.

Siedzieli w milutkim pokoju, tuż za gabinetem Olivera. Stosownie do powszechnie przyjętego obyczaju, pokój ten umeblowany był meblami barwy jasnozielonej. Okna jego wychodziły na ogródek, rozpościerający się z tyłu domu i na mur, obrośnięty pnącymi roślinami, a oddzielający go od sąsiedniej posesji.

W środku pokoju stał okrągły stół, a przy nim trzy wysokie fotele z wygodnymi poręczami i oparciami. Pośrodku stołu wznosiło się okrągłe podwyższenie, na nim zaś stały półmiski. Od lat już trzydziestu stało się zwyczajem powszechnym w domach zamożnych umieszczanie jadalni nad kuchnią i przesyłanie potraw z kuchni do jadalni za pomocą wind hydraulicznych w taki sposób, że półmiski pojawiały się same na środku stołu. Podłogę pokrywała masa z azbestu i korka, wynaleziona w Ameryce, tłumiąca kroki, czysta i przyjemna tak dla stóp, jak dla oka.

Mabel przerwała milczenie.

– A twoja jutrzejsza mowa? – spytała, sięgając po widelec.

Oliver rozchmurzył się trochę i stał się rozmowniejszy.

Okazało się z rozmowy, że Birmingham zaczyna znów się burzyć. Znów odezwały się tam głosy żądające wolnego handlu z Ameryką. Ułatwienia handlu z kontynentem europejskim nie wystarczały. Oliverowi zatem powierzono uspokojenie umysłów.

Miał im powiedzieć, że nie ma celu żadna agitacja, dopóki sprawa wschodnia nie będzie załatwiona. Ludność nie powinna właśnie w takiej chwili, jak obecna, naprzykrzać się rządowi sprawami podrzędnymi. Miał także powiedzieć im, że rząd uznaje słuszność żądań i że bez wątpienia wkrótce je uwzględni.

– Ograniczeni są i samolubni – dodał gwałtownie. – Przypominają dzieci napychające się słodyczami na dziesięć minut przed obiadem. Otrzymaliby wszystko, gdyby poczekali trochę.

– I powiesz im to?

– Że są ograniczeni? Bezwarunkowo.

Mabel spojrzała na męża z przebłyskiem uznania w oczach. Wiedziała doskonale, że popularność, jaką cieszył się Oliver, polegała na jego otwartości. Tłum lubi, gdy chłozcze go słowem i urąga mu człowiek genialny i odważny, rzucający się i gestykulujący w uniesieniu magnetycznym. I ona sama lubiła to również.

– Jak się tam dostaniesz?

– Szybowcem. Zdążę na statek odlatujący ze stacji przy moście Braci Czarnych o osiemnastej. Wiec odbyć się ma o dziewiętnastej, powrócę więc zapewne o dwudziestej pierwszej.

Zabrał się energicznie do śniadania, a matka spoglądała na niego z cierpliwym, dobrym uśmiechem staruszki.

Mabel zaczęła bębnić palcami po obrusie.

– Mój kochany – rzekła wreszcie – pospiesz się, bo muszę być w Brighton o piętnastej.

Oliver połknął ostatni kęs, postawił talerz na okrągłym wzniesieniu pośrodku stołu, spojrzął czy i inne talerze tam już stoją, po czym sięgnął ręką pod stół.

W teże chwili, bez najmniejszego szmeru, wzniesienie opadło i znikło, wkrótce jednak odezwało się z dołu szcęknięcie i szmer czegoś posuwanego i oto wzniesienie ukazało się znów na środku stołu, na nim zaś półmisek z doskonałym pieczonym kurczęciem.

Spędziwszy po śniadaniu minutę czy dwie z mężem, Mabel wyszła z domu, aby zdążyć na pociąg pomocniczy czwartego

stopnia, odchodzący o godzinie czternastej minut trzydzieści do stacji głównej.

– Czy zauważyłaś – spytał Oliver żony, gdy znaleźli się sami – że matka jest jakaś milcząca?

– Ach – odparła Mabel – to znów kwestia nowych potraw. Nie może się do nich przyzwycząić. Stale powiada, że nie idą jej na zdrowie.

– I nic innego?

– Zapewniam cię, że nic. Ani słowem nie narzekała ostatnimi czasy.

Uspokojony, śledził przez chwilę wzrokiem żonę, idącą chodnikiem. Bo w ostatnich czasach zaniepokoiło go trochę kilka słów, rzuconych przez matkę. W latach młodości wychowywana była po chrześcijańsku i zdawało mu się czasem, że wspomnienie tych czasów pozostawiło na niej piętno. Wśród swoich książek posiadała jeszcze jakiś *Ogród duszy*, z którym nie chciała się rozstać, jakkolwiek zapytywana w tej sprawie odpowiadała zawsze z rozdrażnieniem w głosie, że to książka bez znaczenia. Niemniej Oliver wolałby, aby ją spaliła. Przesąd bowiem to rzecz strasznie trudna do wykorzenienia i bardzo łatwo opanowuje człowieka w miarę słabnięcia mózgu. Chrześcijaństwo, mówił sobie, jest równie dzikie jak głupie. Dzikie ze względu na jawną śmieszność i niemożliwość, głupie zaś, ponieważ trzymało się z dala od rozweselającego strumienia życia. Wiedział, że czołga się jeszcze jak pył tu i ówdzie w mrocznych kościołach i odzywa się krzykiem histerycznej sentymentalności w katedrze westminsterskiej, do której wszedł raz i spoglądał na nabożeństwo z uczuciem wstrętu i gniewu. Bełkotało ono dziwne, fałszywe słowa ludziom ciemnym, starym i niespełna rozumu. Doprawdy, byłoby straszne, gdyby matka miała znów powrócić do tych zabobonów.

Co do niego samego, to o ile tylko mógł sobie przypomnieć, zawsze sprzeciwiał się ustępstwom na rzecz Rzymu i Irlandii. Nie mógł pogodzić się z myślą, aby te dwa miejsca miały być raz na zawsze oddane na pastwę głupiemu i zdradzieckiemu

zabobonowi. Stały się one bowiem ogniskami rokoszu, plamami zarazy na ciele ludzkości. Nigdy nie zgadzał się z twierdzącymi, że lepiej, aby cała trucizna Wschodu zebrała się w tych dwóch miejscach, zamiast rozpościerać się wszędzie, gdyż bądź co bądź istniała. Rzym oddano całkowicie starcowi w białej szacie w zamian za wszystkie kościoły parafialne we Włoszech i, jak słyhać, ciemności średniowieczne zapanowały tam niepodzielnie. Co do Irlandii, to, otrzymawszy autonomię, opowiedziała się za katolicyzmem i otworzyła na oścież wrota indywidualizmowi pod postacią najbardziej niebezpieczną. Anglia zgodziła się na takie życzenie ze śmiechem, gdyż uwolniło ją to od agitacyjnego wrzenia wskutek natychmiastowego wyjazdu znacznej części katolików angielskich na tę wyspę, a przy tym, działając w duchu komunistycznej polityki kolonialnej, zgodziła się też na wszelkie ułatwienia dla indywidualizmu w Irlandii, aby przez to sprowadzić go *ad absurdum*. I oto zaczęły się tam dziać rzeczy zabawne: Oliver czytał z gorzkim uśmiechem o nowym zjawieniu się na wyspie Kobiety w szacie niebieskiej i o kaplicach, wznoszonych na miejscach, przez Jej stopy dotkniętych. Nie bawiła go natomiast myśl o Rzymie, albowiem przeniesienie stolicy rządu włoskiego z Rzymu do Turynu pozbawiło Rzeczpospolitą Włoską w znacznej mierze wpływu moralnego, zdobytego w przeszłości, z drugiej zaś strony otaczało stary nonsens religijny złudną aureolą wspomnień historycznych.

Oliver stał jeszcze przez kilka chwil po odejściu żony na progu drzwi, pijąc uspokojenie ze wspaniałego obrazu mocy i rozumu, rozpościerającego się przed jego oczyma: wszędzie widniały bez końca wysokie szklane sklepienia publicznych basenów i zakładów gimnastycznych, kopyły szkół, gdzie uczono co rano praw i obowiązków obywatelskich, wznoszące się tu i ówdzie, podobne do pajaków, windy i rusztowania. Już nawet i kilka strzelających ku niebiosom wież kościelnych nie przejmowało go niepokojem, ponieważ daleko, wśród szarej mgły Londynu, roił się prawdziwie piękny, olbrzymi tłum ludzi, którzy pojęli

wreszcie elementarną zasadę nowej ewangelii, że nie ma Boga prócz człowieka, kapłana prócz męża stanu, proroka prócz nauczyciela.

Następnie wrócił raz jeszcze do opracowania mowy, którą miał wygłosić.

Mabel także zagłębiła się w myślach, siedząc w pociągu pędzącym do Brighton z dziennikiem rozłożonym na kolanach. Wiadomości nadchodzące ze Wschodu niepokoiły ją bardziej, niż to mężowi okazywała, choć zdawało się niemożliwym, aby istniało istotne niebezpieczeństwo inwazji Azjatów. Życie Zachodu było tak rozumne i spokojne! Ludzie postawili nareszcie stopy na skale i nawet myśleć nie można było o tym, aby zechcieli wleźć znów w grząskie, wirowate piaski. Sprzeciwiało się to całemu prawu postępu. A jednak nie mogła się pozbyć myśli, że katastrofy należały także do metod stosowanych przez przyrodę...

Siedziała bardzo cicho, rzucając czasem okiem na skąpe wiadomości ze Wschodu, po czym przeczytała oparty na nich wstępniak. I w artykule tym zdawało się przebijać przerażenie. Kilku mężczyzn, znajdujących się w sąsiednim przedziale, rozmawiało o tej samej sprawie. Jeden z nich opisywał fortyfikacje, wznoszone przez rząd, które zwiedził, oraz pośpiech, jaki tam panował. Inni pytali i wtrącali swoje zdania. Nie brzmiały one pocieszająco. Wagon nie posiadał okien, szybkość bowiem pociągów na liniach głównych była tak wielka, że stawała się szkodliwą dla wzroku. Toteż tylko wewnątrz długiego wagonu, opromienionego łagodnym światłem, rozpościerało się przed jej oczyma. Przez pewien czas spoglądała to na białe rzeźbione sklepienie, to na śliczne obrazy w dębowych ramach, to na głębokie fotele sprężynowe, to na globy mleczne nad głową, rzucające potoki światła, to wreszcie na siedzącą naprzeciwko matkę z dzieckiem.

Wtem odezwał się dźwięk śpiewny i donośny, ledwie że odczuwana wibracja wagonu zwiększyła się nieznacznie, a po chwili odsunęły się automatyczne drzwi i Mabel stanęła na platformie stacji w Brighton.

Zstępując ze schodów, wiodących do stacji, ujrzała księżdz idącego przed nią. Musiał być starcem dzielnym i rześkim, bo choć włosy miał całkiem siwe, stąpał śmiało i pewnie. U stóp schodów zatrzymał się i obrócił trochę. Wówczas spostrzegła zdziwiona, że posiada twarz młodą, piękną i energiczną, o brwiach czarnych i bardzo jasnych szarych oczach. Wkrótce minęła go i skierowała się w poprzek placu ku domowi ciotki.

Nagle, bez jakiegokolwiek zapowiedzi, prócz ostrego huku gdzieś w górze, zaszedł cały szereg szybko po sobie następujących faktów.

Wielki cień zakreślił się u jej stóp, podobny do rozdarcia czegoś, wstrząsnął powietrzem, po czym rozległ się szum, jak olbrzymie westchnienie. Gdy stanęła przerażona, potężny przedmiot runął przed nią na gumowy bruk z chrzęstem i legł, zapełniając połowę placu, wyciągając ku górze skrzydła, kręcące się jeszcze i uderzające powietrze, jak płetwy okropnego prehistorycznego potwora; rozbrzmiewając krzykiem i jękami ludzkimi; wijąc się życiem dogasającym...

Mabel nie była prawie w stanie zdać sobie sprawy z tego, co zaszło. Popchnięta gwałtownie z tyłu, runęła naprzód, zatrzymując się, drżąc od stóp do głowy, tuż przed poszarpanym ciałem mężczyzny, jęczącego i rozpostartego u jej nóg. Z ust jego dobywały się dźwięki artykułowane, wśród których dosłyszała wyraźnie imiona: Jezus i Maryja. W tejże chwili ktoś szepnął jej do ucha:

– Proszę mnie przepuścić. Jestem kapłanem.

Usunęła się na wezwanie i oszołomiona nagłością zdarzenia, patrzyła niemal bezmyślnie na siwego księdza o twarzy młodej, jak klęknął, rozpiął szatę i dobył spod niej krucyfiks; jak następnie schylił się nad ranionym, uczynił szybki ruch ręką i szepnął coś w niezrozumiałym języku. A potem jak powstał i szedł po zbroczonym krwią bruku, rozglądając się jakby w oczekiwaniu wezwania.

W tejże chwili po schodach wielkiego szpitala, stojącego na prawo od niej, zbiegły spieszenie postacie z głowami obnażonymi,

trzymając w rękach przyrządy, przypominające dawne aparaty fotograficzne. Wiedziała, kim są ci ludzie i serce jej zabiło uczuciem ulgi. Byli to bowiem słudzy eutanazji.

Jednocześnie uczuła się ujętą za ręce, cofniętą w tył i znalazła się w pierwszym rzędzie kołyszącego się i krzyczącego tłumu, poza plecami policjantów oraz osób cywilnych, tworzących kordon, aby utrzymać publiczność z dala od miejsca katastrofy.

Oliver przeraził się i zaniepokoił strasznie, gdy w pół godziny potem do jego pokoju wbiegła matka z wiadomością, że jeden z szybowców rządowych spadł na plac przy stacji w Brighton właśnie w chwili, gdy opuszczali ją podróżni, którzy tam przybyli pociągiem o godzinie czternastej minut trzydzieści. Wiedział dobrze, co to znaczy, pamiętał bowiem podobną katastrofę sprzed dziesięciu laty, wkrótce po uchwaleniu prawa zabraniającego osobom prywatnym utrzymywania szybowców. Wiadomość ta zwiastowała śmierć wszystkich znajdujących się w statku powietrznym i prawdopodobnie wielu osób przechodzących wówczas placem, a przygniecionych spadającym statkiem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że żona jego znajdowała się w tej strasznej chwili na placu.

Natychmiast wysłał rozpaczliwą depezę do ciotki, prosząc o nowiny i rzucił się na krzesło, drżąc cały w oczekiwaniu odpowiedzi.

Matka siedziała przy nim.

– Oby... Bóg był łaskaw... – zawołała łkając i zamilkła, gdy syn na nią spojrział.

Lecz los był litościwy, skoro na trzy minuty przed uutorowaniem sobie drogi przez Phillipsa, podążającego do domu z odpowiedzią, na progu pokoju Olivera stanęła Mabel we własnej osobie, trochę blada, lecz uśmiechnięta.

– Jest! – krzyknął Oliver i skoczył, załkawszy mocno.

Niewiele miała mu do opowiadania. Dotychczas nie ogłoszono jeszcze przyczyn katastrofy. Przypuszczano wszelako, że szybowiec spadł wskutek nagłego zatrzymania się skrzydeł bocznych z jednej strony.

Opisała mu, jak cień szybowca pokazał się przed nią, jak usłyszała szum, a następnie trzask spadającego statku – i stanęła.

– Cóż dalej? – pytał Oliver, jeszcze blady, siedząc tuż przy niej i pieścąc jej rękę.

– Był tam także ksiądz – rzekła. – Widziałam go już przedtem, na stacji.

Oliver parsknął z lekka histerycznym śmiechem.

– Uklęknął natychmiast – mówiła dalej – trzymając krucyfiks w ręce, zanim jeszcze nadbiegli lekarze. Czyż to możliwe, mój kochany, aby ludzie wierzyli w takie rzeczy?

– Cóż robić, tak im się zdaje.

– Katastrofa zdarzyła się niespodziewanie, a jednak on znalazł się tam tak, jakby jej oczekiwał. A powiedz mi, Oliverze, jakże można jeszcze wierzyć w takie rzeczy?

– Widzisz, ludzie gotowi są wierzyć we wszystko, jeżeli tylko wmawia się to im zawczasu.

– A ten człowiek, chcę powiedzieć: ofiara katastrofy, ten człowiek umierający zdawał się też pełen wiary. Widziałam jego oczy.

Mabel nagle się zamyśliła.

– No i cóż, kochana?

– Słuchaj, Oliverze, co ty byś powiedział umierającemu człowiekowi?

– Co? Nic! Bo i cóż mógłbym mu powiedzieć? Doprawdy, nawet nie pamiętam, czy widziałem kiedykolwiek umierającego człowieka.

– I ja nie widziałam do dnia dzisiejszego – przy tych słowach lekko drżała – wnet jednak znaleźli się na miejscu ludzie eutanazji.

Oliver uścisnął delikatnie jej rękę.

– Jakżeż to musiało być okropne, droga moja. Dotychczas wdrygasz się jeszcze.

– Nie. Ale słuchaj. Wiesz, że gdybym miała coś do powiedzenia tam, tym konającym, to bym bardzo pragnęła im to wypowiedzieć... Znajdowali się tuż, u mych stóp. Namyslałam się

i spostrzegłam, że nie mam im nic do powiedzenia, bo o humanitaryzmie przecież nie mogłabym mówić im w żaden sposób.

– Dziecko moje, prawda, że to bardzo smutne, ale co na to poradzić? Stało się!

– I... na tym wszystko się kończy?

– Ma się rozumieć!

Mabel zacięła z lekka wargi, po czym westchnęła. Podczas jazdy pociągiem mózg jej przebiegały skłębione myśli. Wiedziała doskonale, że wywołało je tylko wstrząśnienie nerwowe, nie mogła wszelako ich się pozbyć. Jak zaznaczyła sama, po raz pierwszy stanęła oko w oko ze śmiercią.

– A ten ksiądz? – odezwała się po chwili. – Ten ksiądz nie wierzy, aby się na tym wszystko skończyło?

– Moje dziecko, powiem ci, w co on wierzy. Oto wierzy, że człowiek, któremu pokazał swój krucyfiks i powiedział słowa dosłyszane przez ciebie, żyje gdzieś, jakkolwiek mózg jego przestał pracować. Gdzie właściwie, tego nie wie: albo w rodzaju pieca hutniczego, w którym skazany jest na pieczenie się powolne, albo też, jeżeli jest bardzo szczęśliwy i ów kawał drzewa, zwany krucyfiksem, zdziałał swoje, znajduje się gdzieś za chmurami, w obliczu Trzech Osób, tworzących Jedną, aczkolwiek są Trzy; pełno tam innych osób, a wśród nich Kobieta w niebieskiej szacie, tudzież istoty w białych szatach z głowami schyłonymi na bok.

– Wszystkie te istoty posiadają harfy, grając na nich i śpiewając bez końca. Wierzy dalej, że wszystkie owe piękne osoby przechadzają się po chmurach i znajdują w tym wielką przyjemność; spoglądają wiecznie w dół na wspomniany już piec hutniczy i wychwalają Trzy Wielkie Osoby za to, że dały im życie. Oto, w co ów ksiądz wierzy. Pojmujesz, że to brednie, że może to być bardzo... piękne, ale prawdą nie jest.

Mabel uśmiechnęła się zadowolona, gdyż nikt jeszcze nie wytłumaczył jej tego tak zrozumiale.

– Istotnie, mój drogi. To nie może być prawdą. Lecz dlaczego on wierzy w takie rzeczy? Wyglądał na człowieka naprawdę inteligentnego.

– Moje dziecko, gdybym ja, na przykład, wmawiał w ciebie od kolebki, że księżyc to krąg zielonego sera, i gdybym wbijał ci to w głowę dzień po dniu aż do dnia dzisiejszego, jestem prawie pewien, że uwierzyłabyś w końcu w moje słowa. Prawdziwymi kapłanami, moja kochana, są słudzy eutanazji. W głębi serca czujesz to jak ja.

Mabel westchnęła z uczuciem ulgi i powstała.

– Nikt tak nie potrafi – rzekła – dodać otuchy, jak ty, Oliverze. Kocham cię za to. Muszę iść do swego pokoju. Cała jeszcze jestem pod wrażeniem katastrofy.

Idąc przez pokój, zatrzymała się nagle, pokazując trzewik.

– Co to? – spytała słabym głosem.

Na trzewiku widniała krwawa plama. Oliver spostrzegł, że Mabel, patrząc na nią, znów blednie. Powstał więc szybko.

– Proszę cię – zawołał – nie bądź dzieckiem!

Mabel spojrzała na niego, uśmiechnęła się odważnie i wyszła.

Gdy odeszła, stał jeszcze przez pewien czas w miejscu, w którym go pozostawiła. Jakże czuł się szczęśliwy! Nie chciał nawet myśleć, czym byłoby dla niego życie bez niej. Znał ją od siedmiu lat – miała wówczas lat dwanaście. Wreszcie roku zeszłego udali się razem do urzędnika okręgowego, aby podpisać kontrakt ślubny. I od tego czasu stała się dla niego istotną potrzebą. Bez wątpienia świat mógłby obyć się bez niej. Przypuszczał również, że i on przyzwyczaiłby się do straty, jaką by wywołała jej śmierć, lecz nie pragnąłby tego spróbować. Wiedział doskonale, bo tak pojmował miłość ludzką, że istnieje pomiędzy nimi przywiązanie podwójne: umysłu i ciała. Poza tym nic absolutnie. Lubił jednak przenikliwy umysł żony i odbijające się w nim tak dokładnie echo jego własnych myśli. Było to jakby połączenie dwóch płomieni dla utworzenia nowego, większego niż każdy z poprzednich. Ma się rozumieć, że każdy z tych płomieni mógłby palić się oddzielnie – i do tego musi dojść w końcu – tymczasem jednak światło i ciepło obu połączonych w jeden, były ożywcze. Tak, czuł się szczęśliwy, że Mabel uniknęła spadającego szybowca.

O swym wykładzie chrześcijaństwa nie myślał więcej. Wszak wiadomo powszechnie, że katolicy wierzą w takie rzeczy, opisywać je zaś w ten sposób, jak on to uczynił przed chwilą, nie wydawałoby mu się bardziej świętokradzkim, niż wyśmiewanie się z bożka mieszkańców wysp Fidżi, posiadającego oczy z perłowej masy i perukę z włosów. Wprost nie można było traktować takich rzeczy poważnie. I on także dziwował się raz czy dwa razy w życiu, jak istoty ludzkie mogą wierzyć w podobne głupstwa, przyszła mu jednak z pomocą psychologia i wytłumaczyła, że za pośrednictwem sugestii można osiągnąć niemal wszystko. I pomyśleć, iż tak obmierzłe brednie powstrzymywały przez wiele lat ruch w sprawie ułatwienia śmierci, w sprawie eutanazji z całym jej wspaiałym miłosierdziem!

Brwi jego ściągnęły się trochę, skoro przypomniał sobie okrzyk matki: „Oby Bóg był łaskaw!” – ale wnet uśmiechnął się na myśl o patetycznej dziecinności biednej staruszki i zasiadł znów do pracy.

W godzinę później zjawił się Phillips w pokoju, niosąc świeży zwój papierów.

– Ze Wschodu – oznajmił – nie ma więcej wiadomości.